Tom V. Nr. 18.

21. Grudnia 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bądź miłosierny!

Nie pamiętam już w jakiej to wsi, żył gospodarz Walenty Zięba, co miał i stodoły i obory i chudobę i ogrody i wszystkiego tyle, że było i za co Bogu podziękować i biednym ludziskom rozdać, i dla swego użytku dosyć pozostawić. I nieraz idąc sobie inni gospodarze drogą koło obejścia Walentego, patrzyli na te budynki i tak sobie mówili:

— Mój Boże! jest tu, bo jest pracy dużo, ale też nie żałuje ten człowiek nikomu. Czy biedny, czy bogaty, to się tu pożywi i odpocznie, więc znają ludzie na około poczciwą zagrodę.

A prawda, że miał pan Bóg komu błogosławić w pracy i w dobytku! Sam Walenty nie puści nigdy ubogiego z próżnemi rękami, a i chłopaka swego jedynego wprawia do cnotliwego życia, a przedewszystkiem do litości i miłosierdzia nad ludźmi.

— *Bądź miłosierny!* — mawiał Walenty synowi — a Bóg cię nigdy nie opuści, bo co ubogim dobrego uczynisz, to tak, jakżebyś samemu panu Jezusowi uczynił!

Więc chłopak jeno dostanie kawalątko chleba, a pode drzwiami dziaduś żebrak mruczy, to już się zaraz dzieli z dziadusiem a gada:

— Mówcie paciorek za szczęście moich rodziców, i proście pana Jezusa abym ja urosł i miał dostatkiem wszystkiego, to i ja tak samo będę pamiętał o biednych, jak mój tatuś.

I jakże nie ma pan Jezus przymnażać chleba w Walentego chacie, kiedy tam żadna okruszyna nie idzie w niwecz, kiedy tam wszystko a wszystko idzie na chwałę bożą! Nie tylko tam dziady jedzą co niedziela, ale tam obiaduje i każdy najemnik biedny, jeżeli robi u niego dwa lub trzy dni w tygodniu, i jeszcze dostaje kawałek chleba, jeżeli ma w domu żonę i dziecięta drobne. Jeno tam zajrzysz, to on ci zaraz wyciąga łyżkę z łyżnika, ociera łachem białym, pcha ci do ręki i przystawia ławkę i przysuwa miskę i prosi i prosi, aż musisz siadać i jeść, choćbyś był i syty. A jego babina siwiutka i drobniutka stoi z garnkiem za plecyma, i dolewa i wyskrobuje warzechą i dogaduje, ale nic głupiego, a broń Boże co brzydkiego lub złego. A przed jedzeniem klękają wszyscy z Walentym koło stołu i mówią na głos pacierze z pokorą i statecznie, dziękując panu Jezusowi za Jego dary obfite. —

Było to zimą. Śnieg leżał bielutki po polach, jeno się iskrzyło, a mróz był taki, że skoroś tylko za próg wyszedł, to ci zaraz szła para z gęby niby dym z komina. Nadchodzi święto narodzenia dzieciątka Bożego, i nadchodzi wilja, gdzie gospodarz śród życzeń i radości opłatek z czeladzią łamie, a potem do wieczerzy wspólnej zasiadają.

Walentowa warzy coś jadła na setną wieczerzę, a po całej też wsi ruszają się ludziska. Ten bieży po sól, ten po pieprz, a tamten po olej do miasta, a inny znów pożyczyć co do sąsiada. A gdzie najwięcej ludzi stoi? Gdzie najwięcej idą? A jużci do domu uczciwego Walentego! Tam i miodu łyżeczkę dostaniesz za Bóg zapłać, tam dostaniesz troszkę maku do klusek na wilią, tam dostaniesz i mąki do zapaski i kilka suchych grzybków, a jeżli cię na wilią nie stać, to Walenty zaprasza wszystkich ubogich kumów i komorników mówiąc:

— Do mnie, do mnie sąsiedzi dziś na wieczerzę, bo to wie-

czór boży! Dziś dla wszystkich ubogich radość z narodzenia Bożego!

I poczciwy odprowadza każdego aż za furtkę, a powtarza:

— No! pamiętajcież na wieczerzę do mnie! Idźcie z Bogiem i przychodźcie z Bogiem, jak tylko pierwsza gwiazda zaświeci na niebie.

A gdy jeszcze czas był na wieczerzę, to Walenty bierze swego syna, i posyła przez niego to kilka opłatków do ubogiej wdowy, a innej białą bułkę chleba, a innym biednym komornikom bodaj garneczek kapusty, lub innej ciepłej strawy. A skoro już pierwsza gwiazda na niebie błysnęła, to u Walentego zasiada luda aż koło trzech stołów, i jedzą, i modląc a ciesząc się śpiewają kolendy. A mały synaczek biega do furtki i przyprowadza różnych dziadów na wieczerzę, i znowu odprowadza drugich do dom i niesie coś dla nich w ręce, a tak zaciągła się wieczerza aż późno w noc.

Już było blisko północy. Ludzie słuchali, rychło na mszę pastuszkową zadzwonią; a właśnie podonczas drogą zaśnieżoną wchodził do wsi dziaduś stary, sam jak ten śnieg na polach biały i siwiutki. Torba łatana wisi mu u boku, a bucięta znać podarowane bo coś z pańska szyte, a i przyodziewa na nim nieostatnia, a dziwnie czysta i jakby z śniegu utkana, takie to na nim białe. Idzie dziaduś idzie, a gdy przyszedł na prost furtki, maluśki synaczek Walentego poskoczył ku niemu, pocałował dziadka w rękę, bo tak go ojciec nauczył i mówi:

— A wy też dziadusiu nie wstąpicie do nas na chwilkę się zagrzać? A możeście głodni, toby wam matusia co podali zjeść, a u nas tam są ludzie i kolendują i czekają na mszę pastuszkową.

A dziaduś pogłaskał chłopca po główce i rzecze:

— Ja moje dziecko już po wieczerzy, ani mi też nie zimno, bo mię dobrzy ludzie nie źle okryli — i począł iść dalej.

A synaczek Walentego zastąpił mu drogę i woła:

— Ja was dziadusiu nie puszczę, boby się tatuś gniewali na mnie! Chwilkę jeno poczekajcie, ja pójdę po tatusia.

I poleciał chłopczyna i wrócił wnet z ojcem, a ojciec w te słowa do dziadka:

*

— Nie mijajcie też dziadku mej chałupiny dzisiaj, boć to wilia święta, a ktoby dziś dziadka nie przyjął do domu, to mówią, żeby pan Jezus płakał na to. Toć przecie powiadają starzy ludzie, że dziś to sam pan Jezus chodzi po wsiach i patrzy jak też to ludzie żyją między sobą, i czy też jeden drugiemu nie żałuje kawałka chleba.

I dalejże tak prosić dziadka, aż dziaduś wstąpił do niego. A gdy wchodził do chałupy, to zdjął czapczynę, pochwalił pana Jezusa, i takim słodkim wzrokiem spoglądnął w około, aż ludziom się zdawało, że to nie oczy jeno gwiazdki niebieskie, a na czoło i włos siwiutki, że to miesiąc promieniący. Walenty sadowi staruszka na ławę i stawia misy przed nim, i spożyć choć cośkolwiek zaklina. Ale dziaduś dziękuje od serca i prawi:

— Byłem już na wilji we dworze. Oj macie wy dobrych ludzi po dworach. Zostawiłem tam dzieciom różne pamiątki na błogosławieństwo za ich miłosierdzie nad biednym, bo i nade mną się ulitowały.—A potem wyciągnął dziaduś małą książeczkę z torby i rzecze:

— Ot, i dla was mam pamiątkę za wasze dobre serce.

Walenty wymawiał się, i prosił dziadka, żeby się nie szkodował, bo on nie dla nagrody ludzkiej, jeno dla chwały samego pana Jezusa miłosierne serce ludziom okazuje. A staruszek na to:

— No, więc choć waszemu dziecku ją pozostawię!—I zawołał chłopaka Walentego do siebie, i dał mu książeczkę, a potem położywszy ręce na jego główce, tak mówił:

— *Bądź miłosierny*, a Bóg cię nigdy nie opuści, bo co ubogiemu uczynisz, za to ci pan Jezus w niebie zapłaci. A jeśli pokornie i nabożnie będziesz się modlił z tej książeczki, to zobaczysz, że wszystko ci się będzie darzyć na tej ziemi!

I wstał dziaduś, i jął się żegnać z ludźmi, a oto zadzwonili właśnie na mszę pastuszkową. Więc Walenty prosi dziadka, żeby szedł razem z nimi do domu Bożego zakolędować dzieciątku Jezusowi; więc staruszek szedł z nimi i klęczał i kolędował. A gdy przyszło wychodzić z kościoła, to uważali niektórzy, jak na dziaduniu odzienie niby srebrne zajaśniało, i twarz mu się słodko promieniła. I dziwili się temu, i szukali go między sobą

wyszedłszy na pole, ale staruszka nigdzie już nie było, i nikt nie wiedział kędyby się podział.

Późniejszemi już czasy, skoro syn Walentego wyrósł na gospodarza, i po śmierci ojca grunt i gospodarstwo objał: to we wszystkiem widać było pomoc i błogosławieństwo boże. A ile razy poszedł do kościoła, klęknął pod krzyżem pana Jezusa i mówił w pokorze modlitwy z onej książeczki i wziął się do roboty: to wszystko mu szło jak z płatka, i zawsze mu się udało szczęśliwie. Ale też był on ciągle życzliwym i miłosiernym jak i nieboszczyk jego ojciec, był on pobożnym i pracowitym, i nie raz później śnił mu się ów siwy dziaduś, a koło dziadusia widział bielutkich aniołków, a duszę ojca i matki w obłokach jasnych, i te sierotki, które ojciec okrywał, nakarmiał i trzymał w domu swoim. A teraz gdzie on się obraca? Oto cieszy się w niebie z ojcem i matką, i dowiedział się jak na jawie, że to sam pan Jezus był w domu ojca jego na ziemi w ubogiej sukni na wilią za to, że w tym domu znajdowali ludzie biedni zawsze miłosierdzie, a z miłosiernymi sam pan Jezus mieszka.

Kolęda.

Narodził się Jezus Chrystus, syn Boży,
Radują się niebo, ziemia i morze:
Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Śpiewają mu w chórze.

Radują się na niebiosach anieli,
Wyśpiewują Bogu chwałę weseli:
Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Śpiewają weseli!

Pastuszkowie dzieciąteczko witają,
Na kolana koło żłóbka padają:
Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Dzieciątku śpiewają.

Trzej królowie do dzieciątka zjechali,
Złoto, myrę i kadzidło mu dali:
Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Dzieciątku śpiewali.

I my także dzieciąteczko witajmy,
Z aniołami, pastuszkami śpiewajmy:
Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Dzieciątku śpiewajmy.

Wszyscy ludzie dobrej woli na ziemi
Niech pieniami wyśpiewują wdzięcznemi:
Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Synowi bożemu!

Ksiądz Wojciech z Medyki.

Cztery pogrzeby.

Posłuchajcież jak to dalej było.

Wraz z nienawiścią, stały się już przekleństwa codziennym chlebem w zagrodach Martynów, i nie usłyszałeś tam już ani jednego uczciwego słowa. Straszne złorzeczenia Ołeny obijały się o ściany ojczystej chaty, o niewinne uszy dzieci, odbijały się o dzień Boży i słońce świecące, o powietrze czyste, a mrowiem przechodziły Hannę i gdzieś dochodziły aż do grobu nieboszczki Martyniczki, która niedaleko tak cicho spała na cmentarzu za cerkwią, a duszyczka jej musiała się rozpływać we łzach za dziećmi przed majestatem Boskim.

Sprawa zaś poszła w proces i ugrzęzła w becyrku.

Tymczasem tyle wymogli ludzie, że jeszcze Hryć siał tej wiosny, a Iwanowi pieniądze za stodołę przez połowę rozlazły się na przednowku; a dzieci ich bawiły się na podwórku, tylko do chat nie zaglądały, bo tak nauczone były od rodziców, a rosły sobie i kwitły jak kwiateczki. Nadeszło lato i zaczęło złocić kłosy w polu, lipy około probostwa zakwitły pachnące, przepióreczka w zbożu a derkacz na mokrej łące kłóciły się po ca-

łych nocach, bo powiadają ludzie, że raz pożyczyła przepiórka derkaczowi pszenicy, a ten nie chce oddać, i dla tego przepióreczka upomina się krzycząc: pięć! pięć! a derkacz z mrukiem odpowiada: trzy, trzy. — Małe bociany podnosiły się na gnieździe i ciekawie naciągnąwszy szyje przypatrywały się jak wygląda na świecie; a zazulka siedzi cicho i patrzy jak jej jaja wygrzewają inne ptaszki, bo ona się często niesie, to wygrzewać nie może jeno lata koło gniazd i tylko czasem odezwie się żałośnie, i wylęgłe ptaszątko zabiera pod skrzydła. Ślicznie było na świecie; ludzie cieszyli się plonem, który niespodzianie tak pięknie urósł, bo na wiosnę wróżyło źle bardzo tego roku, a niezadługo chyliło żyto głowy na dół, i kłaniało się pracowitym rękom.

Pewnego dnia, a było już ku zachodowi, siedzę sobie na ganku i szyję; wtem przychodzi do mnie Ołena z Kasią swoją na rękach, zapłakana że aż mówić nie może, a tuli dziecię do siebie i nakrywa chustką.

— Co ci Ołeno? — pytam i odkryłam dziecię, domyślając się że słabe.

Mój Boże, chrypiało strasznie i całe aż zesiniało; zatrzęsłam się czegoś, bo to straszna słabość u dzieci, zowie się *angina* i trudno bardzo uratować, kiedy tylko o kilka godzin zapóźniona. Pocieszam więc matkę, ale sama nie spodziewając się nic dobrego, i jęłyśmy ratować to proszkami, to pijawkami, ale daremnie! Już nic nie pomagało, bo było zapóźnione, i wola Boża inna była. Dziecina robiła piersiami, a broniła się i chwytała matkę, bo ją dławiło i dusiło strasznie. Serce pękało Ołenie i gdyby mogła toby była temu dziecięciu swojego dała życia, swojego tchu; ginęła patrząc na te męki niewinnego robaczka, co nic jeszcze nie zawiniło i nie zgrzeszyło, a nie mogła się oderwać od tych mąk, bo ją przykuło do dziecka kamieniem. I nastała noc straszna, długa jakby wieczna była, noc męki wielkiej. Śmierć się pasowała z życiem; Kasia konała i skonać nie mogła. Zrywała się i rzucała z jękiem okrutnym i na ręce matki opadała. Noc przeminęła i zaświtał świeży ranek. Słoneczko wstało jak zawsze, a u Ołeny w chacie Kasia konała i skonać nie mogła. Płacz matki dochodził uszu Hanny i serce w niej

mocno biło, a nie śmiała wejść do chaty. Ołenie straszne przekleństwa stanęły w myśli, jakby wracały na jej głowę, i ledwie nie rozpłynęła się we łzach z żalu wielkiego. Południe minęło i słońce się spuszczało ku zachodowi, położyli dziecię na ziemi na słomie, a Kasia konała i skonać nie mogła. Na niski nieszpor się miało, i zadzwoniono w cerkwi na jutrzejsze święto, a u Ołeny otworzono chatę na oścież, aby każdy szedł, to się szczęśliwa dusza trafi, bo Kasia skonać nie może. I pierwsza gwiazdeczka zeszła na niebie, Kasia się zerwała, chwyciła się matki wyprężyła i skonała.... Duszyczkę jasną jak gołąbka ponieśli Anieli do Chrystusa Pana i złożyli u nóg Jego, a on słodki i miłosierny przyjął ją łaskawie, i świeci tam gdzieś duszyczka Kasi między niebieskiemi służkami, i już ma Kasia inną mateńkę przeświętą i zapomniała co cierpiała, modląc się tylko za rodziców. Jezus Chrystus powiedział o dzieciach niewinnych, że ich jest królestwo niebieskie. Pocieszajcie-że się matki, coście utraciły dzieci, bo one tam bezpieczne i szczęśliwe na wieki.

Ołenę oderwali ludzie od zimnego ciała Kasi. Babka stara ubrała i położyła dziecinę pod oknem, a kwiatów i ziółek pachnących naniosły wszystkie sąsiady tyle, że leżała jak w ogródeczku, biała jak lilijka. Hryć nie widząc przed sobą drogi, poszedł do cerkwi po krzyż i dwoje świec żółtych. Pobożni ludzie przychodzili odwiedzać zmarłą i odmawiali cichy paciorek; przyszła i Hanna ze swoją Kasią, i nie mogąc wstrzymać się od łez, zmówiła pacierz i dziwnie jej smutno było. Pierwszy raz uczuła jakiś wyrzut sumienia, że ona chciała te dzieci skrzywdzić i wypędzić, że i ona ma swoje które jej są tak miłe, a które może także utracić. Ołena spojrzawszy na Hannę zapłakaną przypomniała sobie jak przeklinała strasznie jej dzieci, życząc im wszystkich nieszczęść, a tymczasem swoje pochować musi, i sumienie w niej aż zakrzyczała głośno: zakryła twarz w białe chusty i serdecznym zawodziła płaczem.

Nazajutrz pochowano Kasię w grobek maleńki, w święconą ziemię, i usypano mogiłkę żółtą. Ołenie głosu i tchu nie stało, bo u nas na Rusi ten żałobny zwyczaj, że kobiety za swojemi dziećmi płacząc, zawodzą żałośne niby pieśni jakieś, przy których się serce rozdziera:

— Zkądże cię wyglądać będę dziecinko droga, gołąbeczko biała, sokołeczko siwa, kwiatuszku śliczny! Gdzież idziesz ode mnie dziecino szczera, dziecino rodzona; w jaką drogę daleką taka maleńka, taka biedneńka, taka słabeńka! Tam cię wiatr nie zawieje, słoneczko nie zagrzeje, deszczyk nie obmyje Kasiuniu moja! Ucieszko moja!—Tak zawodziła Ołena, aż płakały z nią wszystkie matki, wszystkie drzewa i wszystkie gwiazdki.

Ucichło w chacie Ołeninej; Tymko nawet nie śmiał swawolić, a Kasia Iwanowa siedziała na progu chaty, przytuliła się do ściany i dumała. Matka wyszła z Feduniem na rękach i pytała jej się o czem tak duma, a ona podniosłszy oczka na matkę rzekła:

— Mamuniu, to nie żal umierać, kiedy tak ślicznie ubierą w kwiaty i wstążeczki! I jabym umarła, żeby mnie tak ubrali.— Nic Hanna nie odpowiedziała, ale ją coś zabolało strasznie.

Tej samej nocy, po pogrzebie Kasi, leżała Ołena w boleściach, i pan Bóg obdarzył ją synem. I uśmiechnęła się do swojego dzieciątka, i zaraz zalała się łzami, bo ją coś tknęło smutnego. Dziecię zdawało się dosyć zdrowe; nazajutrz ochrzcił je w cerkwi ksiądz proboszcz i dał mu na imię Michał, a kumowie przynieśli go matce, winszując jej zdrowia a jemu wzrostu. Hryć raczył i przyjmował gości i zabawiali się w noc do późna kumowie podchmieleni. Za prześcieradłem Ołena smutna tuliła dziecię płaczące niezmiernie, i uspokajała je piersią, ale dziecko ssać nie chciało, naciągało się jakoś dziwnie, pianka mu usta okryła, zaczęło sinieć i oczka zawróciło. Z przestrachem zawołała Ołena babkę, nacierały, ratowały, dziecko dostało *ściski* jak tu nasi nazywają, męczyło się okrutnie dzień cały, zimne leżało a skonać nie mogło. Dopiero na drugą noc oddało ducha i poszło do niebieskiej ojczyzny, tam w górę, poznać się z siostrzyczką.

I znowu cicho było i smutno u Ołeny w chacie. Lato przeszło i zbiory pozwolił Bóg zebrać szczęśliwie; już nie kłócili się i nie wywoływali u Martynów; wprawdzie nie chodzili do siebie, ale już czasem przemówiło to jedno to drugie jakie słowo po ludzku. Dzieci bawiły się razem i lato uciekało. W polu zrobiło się pusto i blado, ucichły wesołe ptaszki polne, tylko do sadów cisnęły się lasowe sikory i szczygiełki. Nareszcie znikł

już i owoc z drzew, a liście zaczęły się przerabiać na złote, po wsi słychać było cepy w stodołach i szczękanie terlic, przy których gospodynie tarły konopie, minął już dawno praźnik w naszej wsi na cud świętego Michała, nastało babskie lato. Coś przędło po świecie srebrne nici, ciepło było i pogodnie. Ludzie chodzili po odpustach, praźniki huczały po wsiach, a codzień dzwon naszej cerkwi głosił msze za umarłych, parastasy i spominki. Dziady jak po żniwie obchodzili stronami, i wszędzie obdarzeni hojnie ładowali torby. Ludzie pozbierawszy pracę nie żałowali i na ofiarę Bogu i na datek biednemu. Sroka gadatliwa a wielka bywalska siadając po opłotkach rozpowiadała niby plotki jakie, albo gości wróżyła. Zbliżała się święta Pokrowa.

Kasia Iwanowa siedziała znowu na progu chaty w południe. Miała główkę obwiązaną i wspartą na obu rączkach; na mizernej twarzyczce widać było cierpienie, i nie było już na niej tego śmiechu szczerego co dawniej. Tłusta Kseńka bawiła się z Tymkiem, włażąc i wyłażąc z jamy przygotowanej na kartofle, a Fedunio uczepiwszy się płotu stał i śmiał się do rozpuku z tej zabawy. Kasia tylko ani patrzyła na nich, czasem jęk, a czasem krzyk prawie wyrywał się jej z ust. Matka zajęta w izbie odzywała się często do niej:

— Cyt lubuniu, cyt dziecino, oj dolaż moja z tobą!

— Mamuniu! mamuniu, jakże mnie główka boli! co ja będę robić! ja nie wytrzymam! — kwiliła Kasia, a matka żeby mogła toby jej wzięła wszystek ból. Już to od dwóch tygodni tak cierpiała Kasia, dostała jakichś strupów na głowie, które się jątrzyły, raniły i bardzo bolały. Ani w nocy spania ani w dzień jedzenia nie było dla niej, a matce z nią; wynędzniała i żaliła się tak serdecznie prosząc to ojca to matki aby jej ulżyli, że serce pękało słuchać. Nie zdawała się ta słabość bardzo zastraszająca, bo to się często dzieciom głowa zlewa, i choć przecierpią, potem im to na zdrowie: dla tego też zdawało się że i u Kasi to szczęśliwie minie. Ale że się nie polepszało a dziecko bardzo cierpiało i płakało dniami i nocami, radzili na probostwie zawieźć do doktora, ale Hanna się bała i opierała temu, bo już to u was moi ludzie zły zwyczaj, że nie wierzycie doktorowi, który się długo uczył, a zdajecie się na baby co nic nie umieją i nic się nie uczyły;

aż kiedy już was wielki strach przyciśnie, to wieziecie do doktora chorego skoro już dochodzi, a że wtedy nikt poradzić nie może, gadacie potem że doktor nie pomógł.

Otóż jednego dnia wieczór było Kasi gorzej, chociaż głowa niby się goiła; wołała że ją koło serca nudzi, i garnęła się to do ojca to do matki płacząc i prosząc ratunku. Cieszyli ją i tulili jak mogli, światło się świeciło w chacie, młodsze dzieci spały, a ich się spanie nie brało: ciężkość jakaś dziwna przygniotła im piersi.

— Tatuniu, mamuniu, boli, boli! — co chwila jęczała Kasia. — Ja umrę, ja umrę.

Mrowie przechodziło ojca i matkę.

— Nie umrzesz koteczku, nie umrzesz Kasienko, to przestanie, to już nie będzie, tylko cicho, cyt, nie płacz!

— Ja umrę — szeptała Kasia ciągle, i chwytała się z krzykiem za serce, to za głowę. — Rodzice już postanowili wieźć ją rano do doktora, i byliby wtenczas wszystko oddali aby ją ratować. Ani oka nie zmrużyła Kasia, a nad nią rodzice, a matka bolała jej bolem, i każden jej krzyk rozdzierał jej duszę na połowy. Północne kury już piały, a ona nad Kasią pochylona nic nie słyszała, tylko jej jęki: gdy naraz obiło jej się o uszy jakieś charczenie i chrapanie, słucha, to Fedio w kołysce tak oddycha aż pieje, piersi mu się podnoszą aż dołek się załamuje pod niemi, a czasem zakaszle głucho jak z pustej beczki. Zerwała się Hanna, porywa dziecko, poznała że mu tak jest jak Oleninej dziewczynce nieboszczce, daje piersi, ale on nie chce, i z ciężkim głuchym płaczem wyrzuca się i wypina matce z rąk. Pół żywa, pół umarła, przybiegła znowu Hanna do mnie.

Jaki tam był ratunek w domu, taki się dało dziecku choremu, ale gdzie tam! Straszna noc zeszła w chacie Iwana przy świetle łuczywa, przy jękach i krzyku Kasi i przy mękach Fedia, którego dusiło. Iwan stracił głowę i opuścił ręce, a Hanna topiła się we łzach, nie mogąc żadnemu dziecku dać rady. Nareszcie i płakać nie mogła, blada jak ściana, trzymała Fedia na rękach, a schylona nad Kasią, już ani mówić nie miała siły. Dzień cały męczyła się Kasia: długiemi chwilami nie było w niej słychać ani widać oddechu, to znowu z przeraźliwym krzykiem wołała

ratunku. Fedia położył Iwan do kołyski i on tam cichutko leżał jakby nie chciał przeszkadzać rodzicom w wielkiej boleści. Poschodziły się kumy i lekarki, cieszyły i rozgadywały, ale żadna już nic nie radziła, bo widziały śmierć oczywistą. Niema i głucha siedziała Hanka nad Kasią, przykuta do jej każdego oddechu, i zdawało jej się, że z ostatnim oddechem Kasi i w niej się coś urwie.

Nad wieczorem krzyknęła Kasia okropnie, chwyciła się matki za szyję obiema rękami tak mocno, jakby się nie chciała oderwać nigdy od niej, zacięła usta i skonała. Matka na nią upadła i nie słychać było nic w chacie tylko chrypienie Fedia w kołysce. Iwan przelękniony wpadł do drugiej chaty, wołając ratunku. Weszła Ołena pierwszy raz od roku do chaty Iwanowej; patrzy i widzi Hannę leżącą w objęciach martwej Kasi; chlusnęła wodą, myśląc, że Kasia jeszcze żyje, chciała rozewrzeć usta, ale były ścięte mocno, chciała uwolnić Hannę z ramion Kasi, niemożna było: stężały rączęta na szyi matczynej, a twarz przy twarzy zdawało się, że spią obydwie. Iwan łamał ręce, kobiety w chacie posłupiały, Fedio chrypiał ciężko.

— Duch święty z wami Hanno! — odezwała się jedna z kobiet przysuwając się do matki i do dziecka — toż wstańcie i zmówcie lepiej pacierz za jej duszę; nie będziecie z nią umierać, macie dzieci! — Ocknęła się Hanna, pomału i ostrożnie zdjęła rączki Kasi z szyi, i złożyła na piersiach, wstała jak słup, blada i straszna, bez mowy, bez płaczu. Fedio dotychczas spokojny, zaczął także męki konania, i sądny dzień był, aż mówić już wam nie mogę i nie potrafię. Umarł Fedio przed północą.

Rano paliły się cztery świece pod oknem. Na ławie leżała Kasia jak słuszna dziewczyna: wieniec z ruty i barwinku otaczał i nakrywał jej białą główkę, a świeciły w nim ostatnie żółte kwiaty jesienne. Wstążki jasne wisiały na ramionach, jak śnieg biała bielizna ją nakrywała, i co dziwnego, miły uśmiech był na ustach: snać dusza jej radowała się w niebie i słodko śpiewała Bogu. Na skrzyni leżał Fedio i patrzał się otwartemi oczami, w nogach siedziała matka i zawodziła, a głos jej wychodził jak z pod ziemi:

— Kasiuniu moja! Moja malino hoża, moja dziecino miła, posłużko moja, robotniczko moja! Czemu do mnie nie przemówisz? Czemu na mnie nie spojrzysz? Czemu mamy nie zawołasz? Czemu nas porzucasz? Zkądże cię wyglądać będę! Kiedyż przyjdziesz do mnie, panno młoda moja!.... Na cóż tobie tyle krasy dziewiczej? na co ci tyle kwiateczków? Czy to wianeczek ślubny? Czy tak nam dziękujesz? Zorońko moja, gołąbko moja! — A moje dzieciny drogie! gdzież idziecie odemnie! Mój Feduniu miłeńki! Mój kniaziu maleńki! Mój sokole biłeńki! Któż cię tam kołysać będzie? Kto cię tam przyhołubi, dzieciąteczko moje!

Pochowano dzieci w jednym grobie. Głos Hanny rozchodził się z cmentarza daleko po równinie. A w niebie przybyło znowu dwoje aniołków, i cieszyli się tam z nowych przybyszów.

W kilka dni, w niedzielę, obie matki trzymając po jednem i jedynem dziecku na łonie, siedziały w sadzie, a liść złoty uścielił im siedzienie, i patrząc jedna na drugą, rozpłakały się rzewnie.

— Żeby nam Bóg choć te dzieci uchował! — rzekła Hanna.

— Żyjmy w zgodzie — odrzekła Ołena — ja już wszystko ofiaruję Bogu i nigdy nie będę drugiemu źle życzyć, żeby mnie na mojem dziecku Pan Bóg nie skarał.

— I ja też nic nie chcę! Niech się te dzieci razem chowają i kochają, żeby się nigdy nie chciały skrzywdzić — dodała Hanna, i przysunęły się bliżej, a dziatki między niemi posiadały.

Jegomość przechodzili właśnie przez ich sadek, bo tamtędy ścieszka prowadzi, pozdrowili je, a zobaczywszy tę zgodę, westchnęli sami do siebie i rzekli:

— Moi ludzie, Pan Bóg was pokarał za waszą nienawiść, wasze przekleństwa i chęć krzywdy. Przyjmcież pokornie tę karę, a żyjcie w zgodzie i uczciwości, pomagajcie jedni drugim, a Bóg wam pomoże! Wychowujcie pobożnie dziatki, ojczysty kawałek ziemi wystarczy dla nich, a czyste sumienie niech będzie dla nich największem bogactwem. Bóg z wami!

I ja to słyszałam, żyję z Martynami w sąsiedztwie, płaka-

łam za ich dziećmi szczeremi łzami i patrzyłam na tę karę Bożą z żalem. I ja też wam powiadam:

— Weźcie sobie do serca tę naukę, kochajcie bliźniego jak siebie samego, niepożądajcie bogactwa z krzywdą drugiego, i nietylko brat z bratem, ale wszyscy żyjcie w zgodzie jak dzieci jednego Ojca w niebie, i jednej Matki, tej naszej Ziemi świętej.

B. E.

Rady gospodarskie, o chudobie.

Jak wieprze tuczyć należy.

Do tuczenia wybierz wieprze długie z rzadką siercią, które nie mają węgrów. Łatwo je poznać po małych pęcherzykach pod językiem, które są podobne do prosa.

Zwykle już na początku września trzeba je odłączyć, jeżeli mają być zabite na zapusty. Z początku dawaj im przez dwa tygodnie chwast z surowemi ziemniakami i osypką. Po dwóch tygodniach dawaj im ziemniaki gotowane, bo od nich lepiej tyją. Po św. Michale porzuć chwast, a paś tucznika ziemniakami lub burakami z osypką, a raz poraz przysyp też i soli. Po Wszystkich Świętych dawaj zaś ziemniaki gotowane z jęczmienną osypką. — Jeżeli wieprze już są przebierne i zostawiają ziemniaki i buraki, natenczas buraków więcej im nie dawaj, a natomiast na drugie danie daj im z kwartę namoczonego grochu, również po południu dawać także groch. Z początku trzeba często paść tuczniki; ale strzeż się, abyś gorąco im jeść nie dawał, boby ci mogły zdechnąć. Koło św. Marcina to już tylko pięć razy dziennie je paść możesz, bo to już wystarczy. Dwa lub trzy tygodnie przed zabiciem, to już i ziemniaków zaniechaj, bo i tak ci ich jeść nie będą, dawaj im przeto samą osypkę parzoną i groch moczony.

Na początku tuczenia wypuszczaj tuczniki w ciepłe dni na krótki czas na podwórze, najdłużej na pół godziny, później daj temu pokój. Dobrze jest, gdy je możesz też skąpać, a jeżeli nie możesz, to zlej je w kuble wodą; lecz później i tego zaniechaj. Podczas wiatru ich nigdy nie wypuszczaj, boby mogły dostać ochwatu.

Na końcu nie można się dosyć nachwalić żuru, bo żurem doskonale się wieprze wypasają. Żur zwyczajny bierze się za-

miast ziarna, co rano i wieczór przymieszuje się po funcie do gotowanych ziemniaków i buraków, a wieprze chciwie to pożerając bardzo prędko się tuczą.

Jeżeliście przestrzegali i przestrzegać będziecie te wszystkie tu wam podane przepisy, to na każde zapusty aż się cieszę, jak wyborne będziecie mieli szynki, słoninę, kiszki i kiełbasy.

(*Sz. N.*)

Jak bywa ludziom koza przydatna.

Nie każdy może mieć krowę, bo nie jednego na nią nie stanie. Ale każdy prawie komornik lub rzemieślnik może mieć kozę, a ta mu wiele dopomoże do utrzymania rodziny, bo dobra koza i za mierną krowę obstoi, gdyż po okoceniu może dać dziennie ze trzy kwarty mleka; a przytem jej utrzymanie jest łatwe i tanie.

Przy kupowaniu kozy uważaj na to, aby była młoda i mleczna. Siła ma lat, to poznasz po zębach. W drugim roku wypadają dwa średnie zęby, a na ich miejsce rosną większe. W trzecim roku wypadają jej dwa następne zęby. W czwartym i piątym roku to samo się powtarza, tak że pięcioletnia koza ma wszystkie przednie zęby krające, równe i nowe. W szóstym i siódmym roku tępią się zęby, kruszą i wypadają. Koza do szóstego i siódmego roku zdatna do chowu, a kozły tylko do czwartego, dłużej nie trzymaj; a przez ten czas mógłeś się łatwo innej kozy i kozła dochować. Mleczność kozy poznasz po pełnem wymieniu. W ogóle przy kupnie uważaj na głęboki brzuch, szeroki krzyż, długi tułów, krótkie nogi, gruby zad, i pełną okrągłą głowę. Przekonano się też, że kozy bez rogów są najlepsze.

Gdyś już kozę kupił, wprowadź ją do czystej obórki, któraby i przeciw mrozom w zimie, i przeciw upałom w lecie była zabezpieczoną. Pamiętaj, że jej mokrość szkodzi.

Wyżywienie kozy jest bardzo łatwe i proste. Żywi się wszelkiem liściem, trawą i warzywami. Ale nie lubi ciągle jednostajnej paszy, bo jej się prędko sprzykrzy. Dla tego zimą daj jej rano siano, potem zupy; w południe siekanych ziemniaków, buraków lub brukwi; na wieczór zupy i siana, albo też grochowin, wyczanki, łęcin, liści suchych, co masz, a zawsze odmieniaj; wszelką paszę zdrową jej dawaj, ale nie stęchłą, ani zmarzniętą, bo to jej bardzo szkodzi. Latem dawaj jej trawę, koniczynę; wyganiaj ją na ogród i na pole, osobliwie tam, gdzie powójka rośnie, bo tę pożera z chciwością. Od wiele liścia ka-

puścianego dostaje wzdęcia i zdycha; dla tego przeplataj je z innem, a nawet liści świeżych nigdy samych nie dawaj, tylko zawsze pomięszanych z suchemi.

Koza jest kotna 20 do 21 tygodni, ma jedno, dwa lub trzy koźlęta; lecz trzech nie wyżywi, dla tego trzecię koźlę powinieneś albo mlekiem żywić, lub przysadzić do innej kozy. Na chów wybierz największe koźlęta wiosenne a pozwól im ssać 4 do 6 tygodni. Przed odsadzeniem zacznij im dawać drobno posiekaną marchew, sałatę, trawy i chwasty. Po odsadzeniu daj im mleka z ciepłą wodą i otrębami; zaś za drabeczkę włóż im drobnego siana; a tak powoli przyzwyczają się i do grubszej paszy.

W końcu dodać wypada, że po okoceniu daj kozie do zupy trochę gotowanego grochu, a od tego jej wiele mleka przybędzie. *(Sz. N.)*

Na zakończenie.

I znowu za pomocą Boską złożył się jeden Tom naszego ***Dzwonka.*** Serdecznie on wam dzwonił moi mili gazdowie, a czy trafiał zawsze do serc waszych, nato sobie sami odpowiedźcie. Serdecznie wam dzwonił, a czasem wesoło, bo poczciwemu nie trudno o wesołość; a często i smutno, bo siła smutku na tej bożej ziemi. Tak samo będzie dzwonił ten Dzwonek i nadal; i dałby pan Jezus, żeby potem już zawsze tylko wesele i radość mógł wydzwaniać, a nastąpi to wtedy, jeźli ludzie w poczciwości, i w miłości ku bliźnim i w innych cnotach chrześcijańskich się podniosą, jeźli poznają dokładnie co złe a co dobre, co szkodzi a co pomaga do zbawienia wiecznego.

Niech przepadają wszystkie nasze grzechy i przewinienia z końcem tego starego roku! Prośmy pana Boga, żeby nie pamiętał na to jakeśmy błądzili, a dał w tym roku co następuje większych uciech zażyć, i dni szczęśliwszych doczekać! Prośmy tego Stwórcę Wszechmocngo o lepszą dolę dla nas i dla naszych dzieci, a sami łamiąc święcony opłatek, rzucajmy się wzajemnie w objęcia, przepuszczając sobie wszelkie winy i urazy, i złość wszelaką: a zagrzewając serca do dobrego.

I ja was też gazdowie pozdrawiam chętnem sercem, i życzę wam miłości Bożej, miłości ojczyzny i miłości bratniej; czystego sumienia, szczęścia na ziemi, i w Bogu nadziei; i życzę Wam żebyście w dobrem zdrowiu Nowego roku doczekali. W tym nowym roku, da pan Jezus, znowu się zobaczymy, a ja Bogu i Wam jak do dziś i dalej będę odrabiał pańskie, jako dzwonnik na cnót wstawanie dzwoniący, a wy mi ofiarujecie zato chętne serce, chętne oczy i chętne ucho, i podzwonnego tyle jak do dzisiaj.

Spis rzeczy i okładzinkę różową na tom V. posyła się z dzisiejszym numerem.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.